

Tylko w marzeniach możemy być
naprawdę wolni

Aleksander Sowa

DO WIDZENIA

Zawiera nagrodzone w ogólnopolskim konkursie literackim
„MÓJ BELFER” opowiadanie pt.: „Tak jest, kapitanie!”

do widzenia

Aleksander Sowa

Do widzenia
Czwarty dzień grudnia
Jej ostatnie samobójstwo
Jak słycać?
Tak jest, kapitanie!
Syndrom złamanych serc
Ochroniarz
Pół godziny Tadeusza Kościuszki
Pierwszy krok w niebo

© Copyright by Aleksander Sowa 2013

Okładka: Aleksander Sowa

Zdjęcie na okładce: Aleksander Sowa

Redakcja i korekta: Łukasz Mackiewicz –

eKorekta24.pl

ISBN: 978-83-272-3839-9

--

Aleksander Sowa | Self-Publishing

www.wydawca.net

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione.

Opole, grudzień 2013 r.

Do widzenia

Zdarzyło się to, kiedy nie miałem pojęcia, co robić z życiem. W jednej z tych studenckich, ciasnych i dusznych kawiarni gdzieś nieopodal Krakowskiej Szkoły Filmowej. Był maj, powietrze pachniało uroczym, słońce za oknem przyjemnie paliło w oczy. Włóczyłem się po mieście zakochany Baczyńskim, Szymborską i Gajcym. Zastanawiałem się wtedy, ja, głupi żółtodziób, dlaczego to *Ferdydurke* jest szkolną lekturą, a nie *Pornografia*. Wszedłem tam ugasić pragnienie. Zmrużywszy powieki, oddałem się w nastrój błogi, senny, lecz pozornie niewzruszony. Ten spokój lokalu mego chwilę później zburzyła ona.

– Poproszę kawę – rzuciła w kierunku barmana, wchodząc. – Cholerka, pomyliłam godzinę – dodając, błysnęła uroczym uśmiechem.

– Egzamin?

– Z filmu – odparła, trzymając pomietą kartę papieru.

Włosy spięte w mysi ogonek. Biała koszulka, granatowy sweterek, czarna spódniczka do kolan. Wraz z jej wtargnięciem w nasz lokal wlał się przedziwny stan niepokoju. Niewytłumaczalne oczekiwanie na nie wiadomo co, które ma nadejść z nie wiadomo skąd. Ale bez wątpliwości, że przyjdzie.

– Rozumiem – barman odparł uprzejmie. – Ile musi pani czekać?

– Kwadrans.

– A, to akurat na kawę.

Po chwili, gdy filiżanka była już pełna, a barman dodał ciepłe „powodzenia”, skierowała się ku nam. Zaznaczyć bowiem muszę naprędce, że oprócz mnie był jeszcze pewien jegomość. Siedział w kącie salki tego absurdalnego lokalu, a oprócz trzech i pół metra dzieliła nas przepaść bezmiaru nieszczęścia.

W bezruchu, niczym gad jakiś, obserwowałem ją od początku. Nasze spojrzenia spotkały się wreszcie. Lecz cóż to, znad Gombrowiczowskiej mej barykady nie dość, że nie mogłem dostrzec koloru jej ocząt, to zaraz się też okazało, iż może to dobrze. Oczy nieznanego koloru przeniosła bowiem na biedaka przy drugim stoliku i chyżo ruszyła ku niemu.

To mnie zastanowiło. Czym wtedy się kierowała, nie wiem. Może, wybierając, uznała, że czytam? Nie chciała przerywać? Dlatego wybór padł na nieszczęśnika w kącie? Następne jej słowa miały jednak zdradzić powód tej decyzji, pozornie pozbawionej logiki.

– Przepraszam – zagaiła. – Poćwicz pan ze mną?

Z pewnością miał po czterdzieście i wyglądał jak lach. Albo jak ciełę. Nie żebym poczuł się urażony jej karkołomnym wyborem, ale tak miały się fakty. Uzasadnione zresztą okolicznościami, o czym później. Dość wspomnieć, że lach siedział sam, przegrany, ze spuszczoną głową, w niewoli czarnych myśli, jakby drzemiać, i nie wyglądał na szczególnie inteligentnego.

– Poćwicz? – spytał bezmyślnie.

W tym powtórzeniu brak było interpunkcji, czegokolwiek z emocji, chociażby pytajnika, tak zdawał się pochłonięty myślami i wyobcowany. Przysiągłbym, że tak właśnie wygląda człowiek tuż przed samobójczym skokiem z wieżowca, mostu czy skały.

– No – mała przytaknęła natychmiast – dialog. Tekst mam. Do egzaminu.

– Do egzaminu?

– Uhm. Za piętnaście minut. Najlepsi zagrają w filmie. Wyświadczyłby mi pan... – chwilę się waha – wyświadczyłbyś mi przysługę?

– Przysługę?

– Chciałabym ostatni raz powtórzyć ten dialog.

– Dialog?

– Tylko raz. Proszę – mała naciska uroczo.

Na to mężczyzna odwraca wolno głowę w kierunku toalety, jakby chciał uciec, lecz nie spuszcza wzroku z dziewczyny. W tym ślamazarnym ruchu jest jakiś przymus, niezrozumiała konieczność.

– Raz?

– Tak.

– W porządku.

I tym mnie zdziwił, zaskoczył i zaciekawił. Wyglądał przecież tak samo jak każdy z nas, chłopców, mężczyzn w tej przeklętej chwili. Żałośnie i podle. Próba tekstu wydaje się w takich okolicznościach nawet już nie na miejscu, lecz najzupełniej niedorzeczna. Niczym mrożone pomyje pite przez rurkę jak kolorowy drink z parasolką. A jednak zgodził się, co miało w sobie jesz-

cze więcej z groteski. Gombrowicz w sam raz, Witkacy na do widzenia.

– Zaczyna się tutaj. – Dziewczyna wskazuje palcem tekst cielakowi. – „Artur, to koniec!” – mówi. – A pan... ty czytasz następną linijkę. Okej?

– Okej.

– To super. Zaczynamy. Artur, to koniec!

– Nie rozumiem.

– Ja jestem Julia, a ty jesteś Artur – wyjaśnia nie-szczęśnikowi jak krowie na rowie. – Czytasz kwestię Artura, a ja Julii. I masz powiedzieć – zerka do tekstu – a właśnie, ale heca – uśmiecha się znów – masz powiedzieć „nie rozumiem”.

– Aha – odpowiada cielak.

– Artur, to koniec!

– Nie rozumiem.

– A do czego sprowadza się nasze życie? – akto-reczka czyta.

– Do czego?

Po jego słowach dziewczyna przerywa i chwilę patrzy w twarz cielakowi. Jego odpowiedź jest jeszcze bardziej bezmyślna. Dziewczę, widać, zapomniało tekstu i pewnie żałuje wyboru idioty na sparringpartnera do dialogu. Sytuacja z absurdu zmienia się w nieśmieszniejszą komedię.

– Czekaj, czekaj – prosi lacha po chwili – nie podpowiadaj. – Mmm... – mruczając pod nosem, widać stara się przypomnieć kwestię. – Do niczego.

– Niczego? Nie rozumiem – mówi cielak.

Zapada cisza. Słychać jedynie tykanie zegara i przecinające ciepłe powietrze łopaty wentylatora pod sufitem. Dziewczyna nagle uświadamia sobie, co właśnie się stało.

– A tak, tak, masz rację. To jest powtarzane kilka razy – mówi.

Cielak widocznie, spoglądając na kartkę, zapamiętał tekst. Nie był trudny wprawdzie, lecz gość sprawiał pozory muła.

– Ja już cię nie kocham – dziewczyna natychmiast dodaje. – Myślałam o tym od dawna, teraz jestem już pewna. Odchodzę. Nie patrz tak na mnie – trajkocze – nie bądź na mnie zły. Przykro mi – dodaje po krótkiej pauzie.

Uśmiecha się zadowolona. Już prawie pamięta. Mężczyźnie jednak nie jest do śmiechu. Jego twarz nie zmienia się ani na chwilę. Muł zdaje się nawet nie mrugać oczami. Milczy. Nic dziwnego. Ta próba, lub coś raczej na jej kształt, próba próby, powiedziałbym, nie ma w sobie odrobiny aktorstwa. Dziewoja ledwie nauczyła się tekstu. Nawet nie recytować, a co dopiero grać – myślę.

– Wstaję i idę do toalety – aktoreczka, zerkając w tekst, wyjaśnia ciąg dalszy – a kiedy wrócę, mam ci powiedzieć: „Cóż, idę. Dasz mi buziaka?”.

– Nie, spadaj – lach odpowiada natychmiast zgodnie z dialogiem Artura.

– No! I to koniec!

Następuje chwila milczenia. Aktoreczka się cieszy. Ten patrzy tępo w dziewczynę. Wpatruje się w nią raczej jak katatonik.

– Niezadowolony, co?

– Niezbyt.

– Zaczniemy od nowa. Artur, to koniec! – mówi. – A do czego sprowadza się nasze życie? – powtarza, pomijając kwestię mężczyzny. – Ja już cię nie kocham. Myślałam o tym od dawna, teraz jestem już pewna. Odchodzę. Nie patrz tak na mnie – terkocze niczym karabin maszynowy – nie bądź na mnie zły. Przykro mi. Cóż, idę. Dasz mi buziaka?

– Nie, spadaj.

Dziewczyna kiwa głową w uznaniu jeszcze bardziej zadowolona. Mężczyzna odzywa się własnymi słowami:

– Znasz tekst.

– Dziękuję. Ale brak w nim emocji. Spróbujemy raz jeszcze?

– Jeszcze raz?

– Tak, proszę. Ostatni.

– Ostatni.

– Tak.

– Dobrze.

– Artur, to koniec! – zaczyna, a w jej słowach wreszcie słyszę wypowiedź kobiety odchodzącej od męża albo kochanka. – A do czego sprowadza się nasze życie? – Z tego zdania przebija jednak sztuczność niczym aspartam zamiast cukru w gazowanych napo-

jach. – Ja już cię nie Kocham – mówi, lecz teraz jest znów beznadziejnie. – Myślałam o tym od dawna...

– Uśmiechnij się.

– Co?

– Uśmiechnij się – cielak powtarza.

– Mam się uśmiechnąć?

– Tak.

– Ale ona go zostawia, no, tego Artura – wyjaśnia cierpliwie imbecylovi. – W takiej chwili mam uśmiechnąć?

– Tak.

Siedzi w bezruchu niczym szalenięc jakiś, idiota bezsprzeczny, chory na ławce w parku przed szpitalem dla nerwowo i psychicznie chorych. Potwierdza skinięciem głowy. Studentka patrzy z niedowierzaniem na obiekt swojego dziwaczego wyboru. Zastanawiam się, czy teraz żałuje. Trudno opisać jej twarz w tamtej chwili, bo słowo „zaskoczona” zbyt płytko oddaje jej wyraz. Lecz mimo to, ku mej konsternacji, po chwili uśmiecha się, jak obląkany jej radzi, i zaczyna po raz kolejny:

– Artur, to koniec.

– Nie rozumiem.

– A do czego sprowadza się nasze życie? – Uśmiecha się dalej.

– Do czego?

– Do niczego.

– Niczego?

Dziewczyna skupia wysilek, by zagrać twarzą, jak jej poradził. I bardzo dobrze. Świetnie jej to teraz wychodzi – bestialsko wydają werdykt. Tym razem w dialogu dostrzegam prawdziwą iskrę. To zaczyna wyglądać realnie – myślę. Tymczasem ona dalej gra wprost fantastycznie.

– Nie rozumiem.

I wtedy. Tamta chwila, kiedy TO właśnie się stało. Powietrze w kawiarni, ruch na ulicach i nawet obroty łopat wentylatora przy lampach zdały się na chwilę ustać. Wpatrzona w jego spojrzenie opętanego twardo utkwione w jej wzroku. Dokładnie wtedy uśmiech spływa z twarzy dziewczyny. Mężczyzna dalej, w tej samej pozie, z niezmiennym wyrazem oblicza wpatruje się w studentkę, z tą jednak różnicą, że...

– Ja już cię nie kocham – odpowiada wolno, zupełnie inaczej. – Odchodzę – dodaje, zmyliwszy tekst, ale nic to, tym przypadkowym sposobem nadaje swej grze cech niebywalej, wprost fantastycznej wirtuozerii, mógłbym pomyśleć, gdyby nie to, czego świadom byłem od samego początku.

Naraz w jej oczach błyskają łzy jak dwa sztylety. I staje się dla mnie jasne, że budzi się gdzieś głęboko skryta w niej dziewczynka. Że oto ten prosty dialog, to durne: „Artur, to koniec” przypomniało jej coś, co nie jest filmem, ale pewnie ciernistym wspomnieniem. A twarz jej mówi, krzyczy wprost do mnie, że wcale nie zapomnianym.

– Myślałam o tym od dawna. – Widzę, że słowa z trudem przychodzą jej przez łyży. – Teraz, teraz jestem już pewna – lka we wciąż niewzruszoną twarz szajbusa. – Nie patrz tak na mnie! – przerywa nagle, podnosząc głos.

Słowa dziewczynie zasychają w gardle. Przelyka ślinę. Po chwili dodaje szeptem:

– Nie bądź na mnie zły.

Lecz zdanie to drży jak most, po którym toczy się opasłe cielsko lokomotywy. Dalej jest tylko rozpacz.

I dopada mnie nagle straszna, acz niedorzeczna wątpliwość, że oto może to nie być prawdziwy dialog. Że to tylko świetna gra aktoreczki. A facet gra dobrze, bo jego rolą jest milczeć. To prosta rola przecież. W sam raz dla idioty. Że łyży, pociągnięcia nosem i te jej spojrzenia są udawane. Ale nie. Wiem, że jest inaczej. Zupelnie inaczej.

– Przykro mi – kończy scenę. – Cóż, idę.

Zawstydzona wyciera łyży i spogląda na mężczyznę.

– Muszę lecieć – śmieje się przez płacz.

Mężczyzna tymczasem wygląda tak samo jak przed kilkoma minutami. Nie ma w nim ani cienia zaskoczenia. Nic się nie zmienia. Brak choćby odrobiny szoku. Wciąż tak samo jest niewzruszony. Szok jednak dopada mnie i barmana. Teraz dopiero dostrzegam, że nie tylko ja TO obserwowałem. Uświadamiam sobie, że dla chłopaka za barem również i ja jestem jak ogniwo jakiegoś łańcucha, jak część tej osobliwej sceny, choć z moich ust nie pada ani jedno słowo.

Studentka wstaje, zdziwiona tym, co przeżyła. Uśmiecha się delikatnie, ale widać jest zawstydzona. Wychodzi w pośpiechu, chyba w gruncie rzeczy zadowolona.

– Dziękuję – rzuca na pożegnanie.

Jej kawa pozostaje nietknięta. Macha nam ręką niepewnie, obraca się i znika. Sekundę później zjawia się ktoś, o kim studentka nigdy ma się już nie dowiedzieć. Z łazienki wraca kat lacha. Od początku o niej wiedziałem. Wiedzieliśmy wszyscy z wyjątkiem aktoreczki. Słyszeliśmy rozmowę baby z cielakiem, ja z za tarczy mej *Pornografii*, barman skryty szańcem bufetu. Tymczasem tamta zbliża się pewnym krokiem do nieciekawego, spogląda z uśmiechem i wzdycha głęboko.

– Cóż, idę.

Nie robi to jednak na nikim większego wrażenia, albo wrażenie jest tak duże, że nie potrafimy własnym zmysłom uwierzyć.

– Artur, dasz buziaka?

– Nie, spadaj.

--

Inspirowane filmem *On s'embrasse*.
Reżyseria: Pierre-Olivier Mornas.

Czwarty dzień grudnia

Spoglądam w kalendarz. Sumienie mnie laje. Powiniennem usiąść do klawiatury i pisać. Dziś przecież 4 grudnia, niedziela, we wtorek będzie Mikołaj i zaraz święta. Poza tym dziś mam cholerny *deadline*. Muszę napisać opowiadanie na konkurs. Nigdy nie lubilem opowiadań, a tym bardziej konkursów. Do tego temat ma być świąteczny. Znaczy się co – myślę? O karpiach, choince albo kolejny raz wyświetlonym, starym jak arka Noego filmie *Kevin sam w domu* w Polsatowskim szambie, między reklamami podpasek i zapewnieniami, co jest najlepsze dla mężczyzny?

Sam wiem, co dla mnie najlepsze. Nikt nie musi mi tego mówić. Dziś, Święty Mikołaju, chciałbym dostać natchnienie – drwię z siebie, siadając w ulubionym fotelu zamiast przy biurku. I nie znoszę grudnia i świąt.

Cholerna niemoc twórcza. Lenistwo, znaczy się – myślę, spoglądając na czerwoną datę. Czasem pewnie każdy pisarz ma tak jak ja teraz. Pisać. Jak to prosto, słodko i pozytywnie brzmi! Pięcioliterowy czasownik, dwie tylko sylaby. Cholerne narzędzie tortur. Przekłętę uczucie. Dziś nie dam rady – usprawiedliwiam własne „ja”. Wolę się napić. Konkretnie soku z wódką. I to wyłącznie polską. Jest za czyje zdrowie wypić i przy tym okazja na bycie patriotą. Sącząc drinka, przymykam powieki. Połączyłem słodki smak lat młodości z gorzkim smakiem wspomnień.

Sen przychodzi podstępem. Przynosi beczelnie realną projekcję. Znów mam 20 lat, jeszcze nie palę 20 papierosów dziennie. Siedzę w tym samym fotelu i wiem, że „zapomnieć” to duże słowo, ale proszę właśnie o nie...

– Tatusiu, na co patrzysz? – Słyszę głos córki.

– Na zawody. Mistrzostwa świata w lekkiej atletyce.

Jej spojrzenie wędruje na ekran telewizora. Marszczy brwi i uważnie patrzy. Chwilę skupia się na sylwetkach sportowców.

– Ja nie lubię atletyki – odpowiada po chwili.

– Lekkiej atletyki.

– No właśnie. Zresztą nieważne, nie lubię i już.

– Dlaczego?

– Jest głupia. Sport też. Kiedy biegamy, zawsze przegrywam – odpowiada, wskazując postaci sportowców.

– Na pewno zawsze?

Dziecko zastanawia się chwilę. Widzę w jej rysach część siebie jak na zdjęciu z dzieciennych lat. We włosach dostrzegam chłopaka, jakim byłem, a w zbyt obszernych ruchach nieporadność z pierwszych lat podstawówki. Tymczasem Magda przechyla główkę z zainteresowaniem.

– Masz rację – rezolutnie odpowiada. – Czasem udaje się wygrać. Ale wtedy to też jest głupie.

– Dlaczego?

– Dlaczego i dlaczego! Przecież to jasne jak słońce – odpowiada, wzruszając ramionkami. – Kiedy prze-

grywam, nie dość, że jestem zmęczona, to jest mi smutno. Biegłam, a ktoś był lepszy. A to nie jest mile.

– Ale przecież czasem wygrywasz.

– Wtedy jest jeszcze gorzej – mówi poważnie, kiwając głową. – Tylko przez chwilę jest fajnie. Wygrałam, myślę, a potem okazuje się, że inni przegrali, i zaraz robi mi się przykro – wyjaśnia.

– Przykro? Przecież wygrałaś. Powinnaś cieszyć się ze zwycięstwa.

– Nic nie rozumiesz, tatusiu. Ktoś inny przegrał przeze mnie.

Ktoś musi przegrać, aby ktoś inny mógł wygrać – myślę. Spojrzenie wędruje w zamyśleniu na ekran. Z obrazem zawodnika w blokach startowych wracają wspomnienia. Widzę siebie młodszego o kilkanaście lat. O żonę, córkę, hipotekę i kilka powieści.

– Wiesz, że też kiedyś biegłem jak oni?

– Naprawdę? – Oczy Magdy robią się wielkie jak pięciozłotówki. – Opowiedz o tym, proszę – mała dopada mnie niczym pijawka. – Proszę, proszę – mówi, siadając mi na kolanach.

– To było dawno – zaczynam.

– Zanim zostałeś pisarzem?

– O tak! O wiele wcześniej – mówię z uśmiechem. – Chodziłem do drugiej albo trzeciej klasy technikum.

– To ile miałeś lat? – pyta rzeczowo.

– Szesnaście albo siedemnaście.

Spogląda na mnie podejrzliwie. Przechyla główkę i liczy w głowie, ruszając ustami, bez słów, wpatrzona w sufit. Nagle przewraca oczami.

– Coś ci się pomyliło – mówi. – Powinieneś być wtedy jeszcze w gimnazjum.

– Wtedy nie było gimnazjów. Były szkoły zawodowe, licea albo technika – wyjaśniam. – Tatuś chodził do technikum właśnie. A w nim był klub sportowy „Sprinter”, w którym trenowaliśmy.

– Tę atletykę?

– Tak. Najbardziej biegi. Akurat biegałem na krótkich dystansach.

– I występowałeś w zawodach?

– Potem już tak.

– Takich jak te? – mówi, wskazując ekran. – Byłeś w telewizorze?

– Czasem byłem. Ale w takich nie uczestniczyłem nigdy.

– A dlaczego?

Uśmiecham się i przez chwilę myślę, jak wytłumaczyć dziecku coś, co przecież jest oczywiste. A jednocześnie tak trudne.

– To właśnie o to chodzi, kochanie. Trzeba wygrywać, chociaż nie to jest najważniejsze. Najpierw trzeba być dobrym w takich biegach, w jakich ty teraz bierzesz udział, potem w zawodach na całą szkołę. I trzeba bardzo dużo trenować. I jak się tak dużo trenuje, to występuje się na zawodach, gdzie jest już kilka

szkół, a potem najlepsi na całą Polskę. I dopiero potem takie olbrzymie zawody jak te moje w telewizorze.

– Aha. Ale to strasznie wielu ludziom musi być przykro, że przegrali!

– Inaczej się nie da. Tak samo, jak nie można zawsze wygrywać.

– No ja też czasem przegrywam, a czasem wygrywam.

– Właśnie. I wygrana jest nagrodą za pracę. Za treningi i wysilek.

– No, ale inni też trenują, a przegrywają.

– To prawda.

– A dużo trzeba trenować?

– Bardzo dużo. A żeby wygrywać, to jeszcze więcej.

– No to bym trenowała tak najbardziej, najwięcej.

Wtedy to bym na pewno wygrała.

– Niestety tak się nie da.

– To w takim razie to jest niesprawiedliwe.

Tak, to niesprawiedliwe – myślę. Córka ma rację. Ale sprawiedliwość jest czymś, czego nie ma. To przecież pojęcie teoretyczne, nieistniejące jak wszystko, co idealne. Niesprawiedliwość jest za to bardzo realna.

– Opowiem ci dalej, chcesz?

– Opowiadaj! – krzyczy, klaszcząc. – Uwielbiam twoje opowieści.

– Trenowałem kilka lat, raz wygrywałem, a raz przegrywałem. Było mi przykro, kiedy przegrałem, a kiedy indziej cieszyłem się z medali. Czasem byłem zły na siebie, czasem zadowolony. Bywało tak, że miałem

stałych rywali. To zwycięstwo nad nimi cieszyło najbardziej. Aż pewnego dnia w czasie wakacji do naszej szkoły przyjechali na trening zawodnicy z Litwy i Słowacji. Nasz trener postanowił to wykorzystać i zorganizowaliśmy zawody.

– Międzynarodowe?

– Właśnie. Wystartowałem w biegu na czterysta metrów, dwieście i sto.

– To na krótkich dystansach, tak?

– Tak. Wygrałem bieg na czterysta i dwieście. Był tam też pewien Słowak. Miał na imię Dávid.

Przypominam sobie jego nazwisko, ale córce o tym nie mówię. Pamiętam drania dokładnie. Miał lepsze warunki fizyczne niż ja. Wyższy, na dłuższych nogach, a na nich umięśniony korpus. Ani grama tłuszczu na brzuchu, tacy przecież wtedy wszyscy byliśmy – myślę, nie chcąc przypominać sobie o tym, co mam powyżej paska u spodni.

– A na sto metrów wygrał Dávid?

– Masz rację – przyznaję. – Jednak wtedy nie to się liczyło.

– A co?

– Najpierw był bieg na czterysta metrów. Wylosowałem tor trzeci, a Dávid czwarty. Wystartowaliśmy i na pierwszym łuku widziałem go przed sobą. Próbo-wałem go dogonić, ale ledwie się zbliżyłem. Na pierwszej prostej biegliśmy niemal przez sto metrów krok w krok. Ani ja nie potrafiłem dogonić Dávída, ani on nie umiał uciec na metr. Dzisiaj uważam, że to był najlep-

szy bieg w życiu. Zresztą również najważniejsze zawody.

– Przecież mówiłeś, że raz przegrałeś.

– Tak mówiłem. To prawda. Ale chodziło o coś zupełnie innego.

– To opowiadaj.

– Na drugim wirażu zrównaliśmy się i została tylko prosta. Okazało się, że pozostali czterej zawodnicy zostali daleko w tyle. Biegliśmy ramię w ramię i pamiętam myśl, że jeszcze nigdy nie spotkałem kogoś, kto potrafił tak walczyć jak on. Nie odpuścił do ostatniego metra. Owszem, wygrałem ten bieg, ale nie więcej niż o setną sekundy. I poczułem coś bardzo ważnego.

– Co takiego?

– Nie było mi przykro, że wygrałem i że Dávid przegrał. Byłem dumny z siebie. I z niego. Był najtrudniejszym rywalem, jakiego spotkałem. Po biegu podszedł do mnie, uściśnął rękę i odparł:

– Jesteś naprawdę mocny, brachu. – Aż zaboląły mnie palce, tyle miał siły w dłoniach. – Następny raz jednak ci się nie uda – dodał z uśmiechem.

– I rozumiałeś go? – spytała córka rezolutnie.

– Tak, znałem dość dobrze czeski. Dávid również. Tak się porozumiewaliśmy.

– Aha.

– Na rewanż nie musieliśmy długo czekać. Odpoczęliśmy, obserwując w cieniu pod drzewem kolejne zawody. Nauczył mnie kilku następnych słów, których

nie rozumiałem albo których nie było w słowniku. Zresztą już wcześniej poznałem Dávída, bo mieszkał w internacie. I ja także. Interesowałem się czeskim, a że Słowacy, choć to zupełnie inny naród, też znają czeski, to szybko się zaprzyjaźniliśmy. Do czasu zawodów nie wiedziałem jednak, że drań jest taki mocny. Przyszła wtedy kolej na sto metrów. Znów wylosowaliśmy tory obok siebie. Zanim weszliśmy do bloków, Dávíd poklepał mnie po ramieniu.

– Teraz moja kolej – rzucił z uśmiechem. – Chociaż wiem, że nie odpuścisz.

– Ani myślę – odparłem zadowolony, że nie podał mi ręki.

– I dobrze!

Po chwili byliśmy obaj w blokach. Widziałem tylko czerwony kolor mączki ceglanej i słyszałem bicie serca jak uderzenia młotem w oczekiwaniu na sygnał. Usłyszeliśmy przeciągle:

– Naaaa miejscaaa! Gotów!

I chwilę później wystrzał startera. Kolce butów zaryły się w tor i usłyszałem wrzawę na trybunach. Widzowie po walce w poprzednim biegu wiedzieli, że jesteśmy faworytami. I dlatego byli jeszcze ciekawsi, kto wygra.

Po pierwszych krokach wyprostowałem się i uniosłem głowę. Przedemną istniał tylko ograniczony dwiema białymi liniami tor. Jak tunel. Wylącznie to się dla mnie liczyło.

Bieg na sto metrów trwał około jedenaście sekund. Nie więcej niż sześćdziesiąt kroków. Nie było czasu na taktykę, myślenie czy podejmowanie decyzji. Liczyło się tylko, by zachować rytm i po oderwaniu palców od bieżni dać z siebie wszystko. Tyle tylko, że...

– Dávid wygrał? – córka przerywa z wypiekami na twarzy.

– Obaj trochę spóźniliśmy start, zostając w blokach – odpowiadam. – Po pięćdziesięciu metrach jednak wysunęliśmy się na czoło. Bałem się, że rzeczywiście wygra, bo nie odpuszczał i naprawdę był bardzo mocny. Słyszałem jego każdy, ciężki jak sapanie parowozu oddech, słyszałem każdy krok i zdawałem sobie sprawę, że biegniemy równo. Do ostatniego metra był tuż obok. Kiedy postawiłem stopę na jednej z pierwszych linii przed metą, przechyliłem się w przód. Również Dávid rzucił się na taśmę.

Dotarł do nas wrzask widowni. Koleżanki i koledzy skakali, machali do nas, ale nikt nie wiedział, kto wygrał. Sędziowie spoglądali na siebie niepewnymi mianami i nie potrafili wyłonić zwycięzcy. A Dávid podszedł i znów pogratulował.

– Niech cię diabli, przyjacielu, naprawdę jesteś dobry.

– Ty też – odparłem.

– Ale nie wiedzą, kto wygrał – odpowiedział, rzucając spojrzenie na skonsternowaną komisję biegową.

Ucisnął mi rękę. W tej samej chwili sędziowie zdecydowali, więc zapomniałem o bólu ściskanej prawicy.

– Czasy dla obu zawodników zapisujemy identyczne, ale to Dávid zwyciężył.

Chłopak spojrział na mnie. Pogratulowałem zwycięstwa, choć nie byłem pewny, czy werdykt jest słuszny. Zawody były międzyklubowe i bez fotokomórki nie dało się wyłonić zwycięzcy.

– Nieważne. Pewny nie jestem. – Dávid wydał wargi. – Rozstrzygniemy to po swoim. W trzecim biegu. Na dwieście też jesteś zapisany, prawda?

– Ano.

I tak po kilkudziesięciu minutach znów staliśmy na bieżni. Tym razem ja uciekałem, bo wylosowałem zewnętrzny tor. Starter dał sygnał. Ruszyłem z całych sił. Wiedziałem, że jeśli tylko choćby przez chwilę pobiegnę wolniej, Dávid dogoni mnie na wyjściu z wirażu. Nie będę w stanie już wygrać. I wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

– Co?

– Na zawody przyszła pani dyrektor ze swoim rudym jamnikiem. Nie wiem, jak to możliwe i jak to się stało, ale nagle Fafik znalazł się kilka kroków przede mną.

– Głupi pies! – Madzia rzuca zdenerwowana.

– Co robić? – przeszło mi przez myśl.

Czasu jednak nie było. Musiałem zdecydować. Nie mogłem ominąć psa.

– Dlaczego?

– Musiałbym zmienić tor. Zostałbym natychmiast zdyskwalifikowany.

- Z jakiego powodu?
- Prawdopodobnie zabiegłbym drogę komuś, kto był akurat za mną. A tego nie chciałem, bo...
- ...za tobą był Dávid?
- Właśnie.
- I co zrobiłeś?
- Było tylko jedno wyjście. Przeskoczyłem nad psem. Skok jednak wybił mnie z rytmu, zachwiałem się i upadłem.
- O jejku, nie!
- Nic wielkiego się nie stało. Ale kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że zawodnicy biegną już przede mną. Zostało tylko trochę czerwonego kurzu. Nie było sensu biec dalej. Przegrałem. Zakląłem pod nosem, a Fafik podbiegł na krzywych łapach i polizal mnie po ręce, wesoło merdając ogonem.
- Phi! Mówiłam, głupi pies.
- Zły przegoniłem jamnika. W jego miejsce pojawił się mój słowacki kolega.
- Wszystko widziałem – rzucił, podając rękę, by pomóc mi wstać.
- Czemu nie biegłeś dalej?
- Nie wiesz? – odparł pytaniem.
- Wiedziałem. Zrobiłbym tak samo. Uśmiechał się. Widok jego białych zębów i wesołych oczu spowodował, że złość natychmiast mi przeszła. Lubilem drania.
- Przecież oni się nie liczą – rzekł o zawodnikach przekraczających metę. – Jeśli wygrałbym z nimi, wygrana nic by nie znaczyła. To z tobą biegłem, nie z

nimi. Nie spotkałem nikogo, kto walczyłby jak ty. Naprawdę zadałeś mi bobu. Zresztą już dwa razy wygrałeś.

– Jak dwa? – zaprotestowałem natychmiast. – Na setkę byłeś pierwszy.

– Eee tam. Nie to jest ważne. Liczy się, jak wygrałeś.

Z obdartym kolanem i brudny od mączki ceglanej przyznałem mu rację.

– Co było dalej?

– Podniosłem się. Wszystkie twarze na stadionie zwróciły się ku nam. Sędziowie, zawodnicy i widzowie bardziej interesowali się nami niż tymi, którzy rozdzielili miejsca pomiędzy siebie.

– Trudno – odparłem. – Nic z tym nie zrobimy.

– Możesz biec dalej?

– Jasne, nic mi nie jest – odparłem zdziwiony.

– No to chodź – rzucił. – Mam pomysł.

Ruszyliśmy wolno, truchtając obok po swoich torach. Widzowie z trybun umilkli. Nagle zrobiło się cicho. Po chwili przez stadion przetoczył się szmer dziesiątek szepczących ust.

– Co mówią? – zapytał.

– Zastanawiają się, co robimy – przetłumaczyłem.

Zamyślałem się chwilę, wracając do tamtej chwili. Nie mogę pokazać córce wzruszenia, które dopada mnie nawet teraz.

– Przed metą – szybko mówię dalej – chwyciliśmy się za ręce, unosząc je w górę. Tak przekroczyliśmy metę. Zerwała się burza oklasków.

Magda milczy. Widzę, że zastanawia się nad czymś, drapiąc rajtuzy pod kolanem.

– Mówiłeś, że wygrałeś dwa razy.

– Sędziowie stwierdzili, że byłem na mecie w tym biegu szybciej.

– Śmieszne.

– Tak.

– Tatusiu? Spotkałeś potem jeszcze tego Dávida?

Obawiałem się tego właśnie pytania. Wieczorem przecież popiliśmy polskiego piwa, a tego nie mogę powiedzieć kilkuletniej dziewczynce. Nie chcę kłamać, więc się przygotowałem.

– Obiecywaliśmy sobie z Dávidem, że za rok się spotkamy i rozegramy spór, kto jest szybszy, raz jeszcze. Tym razem ostatecznie. Ale nie dotrzymał słowa.

– Jak to?

– Trzy dni później wyjechał do domu. Nigdy potem go nie spotkałem.

– Trudno. To i tak ciekawa historia. Idę na podwórko. Będę trenować jak ty kiedyś. Będę najlepsza – odparła, wybiegając z mieszkania.

Budzę się ze snu zlany potem. Człapię do łazienki i staję przed lustrem. Spoglądam na siebie. Pamiętam Dávida do dziś. Mam gdzieś zdjęcie, na którym opalony jak Murzyn, przy dekoracji zwycięzców biegu na 400 metrów, schyla się po srebrny medal. Pamiętam,

że chwilę później rozdają medale za setkę. Zmieniamy się miejscami.

Jestem dziś starszy o kilkanaście lat. Cięższy o tyle samo kilogramów. Na głowie włosy mam rzadsze, a pod nimi tkwi bagaż doświadczeń. To przez Dávida nie znoszę grudnia, Gwiazdki i świąt. Przez niego poznałem jeszcze jedno słowo w jego języku. W następne wakacje Słowacy znów przyjechali do naszej szkoły. Nie było go z nimi, więc zapytałem.

– Leukemia – to znaczy białaczka. – Nie przyjechał, bo umarł.

– Kiedy? – spytałem.

– Czwartego grudnia.

--

Pamięci Dávida B.

To jest darmowy fragment.

Więcej informacji znajdziesz na stronie

<http://www.wydawca.net>

Aleksander Sowa (ur. w 1979 r. w Paczkowie) pisarz niezależny, wydawca i self-publisher. Laureat nagród: głównej plebiscytu internautów *Najlepsza książka na lato 2010 portalu Granice.pl* za powieść pt. „Jeszcze jeden dzień w raju” oraz drugiej plebiscytu *Najlepsza książka na jesień 2010 portalu Granice.pl* za powieść pt. „Era Wodnika”. Zdobywca nagrody głównej w *Ogólnopolskim Konkursie Literackim Mój Belfer 2012* za opowiadanie pt. „Tak jest kapitanie!”. Jako jeden z pierwszych autorów w Polsce wykorzystał do samopublikowania serwis Amazon Kindle Publishing oraz [Smashwords](#). Jego debiutancka powieść „Umrzeć w deszczu” jest pierwszą polską powieścią wydaną na papierze a następnie sprzedawaną w Amazon jako e-book.

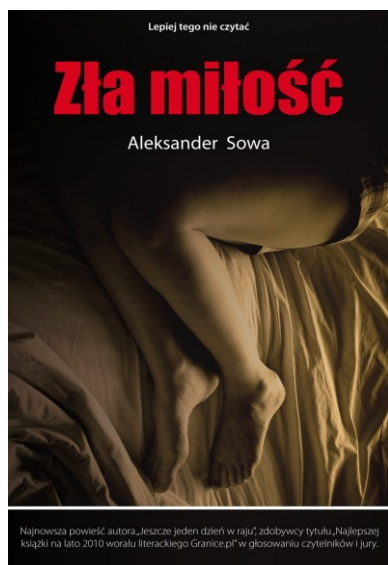
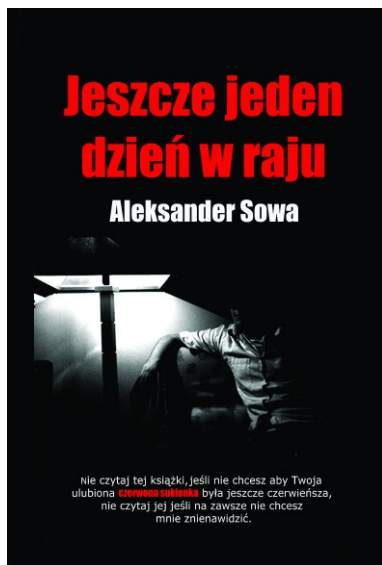
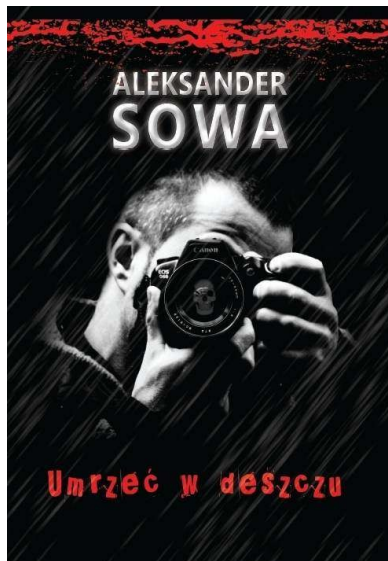
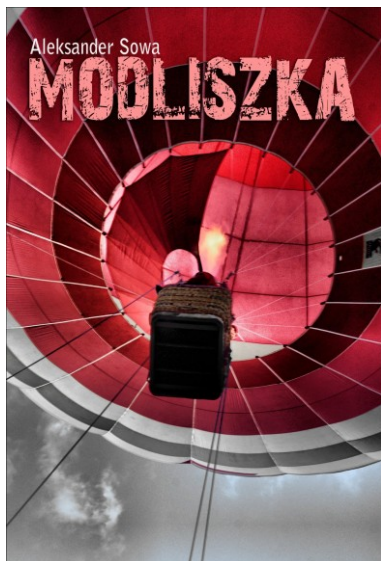
Strona autora: www.wydawca.net

[facebook.com/Do-widzenia](https://www.facebook.com/Do-widzenia)

[facebook.com/wydawnictwo.autorskie.wydawca](https://www.facebook.com/wydawnictwo.autorskie.wydawca)

[google.com/+AleksanderSowabook](https://www.google.com/+AleksanderSowabook)

twitter.com/aleksandersowa



www.facebook.com/aleksander.sowa